



Fot. A. K.

Andrzej Kulig

To, jak staliśmy się „andystami”, przedstawiłem w pierwszej części artykułu (EL nr 151).

Teraz, po krótkim odpoczynku, pora wyruszyć w dalszą wędrówkę. Trzeba zmierzyć się z Górą.



Z BESKIDU WYSPOWEGO W ANDY

Aklimatyzacja

Podczas odpoczynku w bazie Plaza Argentina zostajemy poddani badaniom medycznym (m.in. ogólny wywiad, ciśnienie i stopień natlenienia krwi), ponieważ

Mamie, która „mi pierwsza pokazała Księżyc”, z okazji 80. urodzin, dedykuję ten artykuł wraz z życzeniami zdrowia.

należy uzyskać zgodę lekarza na dalszą wspinaczkę. Brak takiego pozwolenia oznacza w praktyce rezygnację z ochrony agencji ubezpieczeniowej. Nie warto ryzykować, ani zdrowiem, ani pieniędzmi (np. za akcję helikoptera). Na razie jest dobrze. Jestem mile zaskoczony dobrą reakcją organizmu na wysokość, a właściwie jej brakiem. Ruszamy więc na Aconcagua.

Wtorek, 6 lutego, to dzień pierwszego, aklimatyzacyjnego wyjścia do obozu I. Wstajemy jak zwykle ok. 7. W namiocie jest 1°C, na zewnątrz -6°C. O godz. 8 śniadanie i o 10 wymarsz. Przejście ogólnie nie jest bardzo trudne do pokonania, jednak początkowa i końcowa jego część nie jest przyjemna, ponieważ szlak prowadzi po stromych ścieżkach, przez osypujące się piargi. Środkowy odcinek, przez pokrytą kamieniami, żwirem i piaskiem morenę lodowcową, jest zdecydowanie łatwiejszy. Zwłaszcza że jest słoneczna pogoda. Idąc przez jezior lodowca Relinchos, spotykam pierwsze penitenty - tzw. śnieg pokutny. Jest to pole firnowe ze specyficznie ukształtowaną pokrywą śnieżną, występującą tylko w Andach i w Hindukuszu formacją lodową, przypominającą postacie pokutników. Po czterech godzinach marszu jesteśmy na rozległym terenie, przeznaczonym na obóz I (5000 m n.p.m.). Zastajemy tu wiele namiotów. Nasze namioty rozkładamy na krawędzi śródgórskiego „płaskowyżu” i zostajemy na nocleg. Około godz. 18 zaczyna prószyć słaby śnieg. Wieje coraz mocniej, a po zachodzie słońca woda w pobliskim potoku zaczyna powoli zamarzać. Po kolacji należy tylko zamknąć namioty i iść spać.



Fot. Leszek Cichy





dzimy do bazy. Wszystkie namioty zostają zamknięte i zabezpieczone kamieniami. Z moim robię to bardzo starannie, bo już wiem, jakie grozi mu niebezpieczeństwo - wiatr. A chciałbym jeszcze do niego wrócić. Dlatego, na wszelki przypadek, do namiotu wkładam dodatkowo kilka dużych kamieni. Zejście z platformy obozu pierwszego przez morenę i zbocze doliny rzeki Relinchos jest trochę łatwiejsze niż podejście. Teraz zauważam, że penitenty występują praktycznie tylko pomiędzy bazą a obozem I. Trzydniowa aklimatyzacja wysokościowa przebiegła dobrze. Czy dostatecznie dobrze?

Fotografie:

U góry: Autor z proporczykiem z Limanowej na szczycie Aconcaguy.

Na dole po lewej: Pokutne śniegi, czyli penitenty spotykane tylko w Andach i Hindukuszu.

Pośrodku: W drodze na szczyt – w żlebie Canaleta.

Po prawej: Helikopter leci na ratunek lub ... po odpady.

Niżej: Zwarta grupa, zwana „tramwajem”, wędruje w kierunku szczytu.

Fot. ze zbiorów A. K.

Aconcagua – Kamienny Strażnik cz. 2



Fot. Leszek Cichy

Noc jest bardzo trudna. Cały czas silny wiatr szarpie namiotem. A w namiocie zimno, ok. 0°C. Próbuję jednak zasnąć. Wczesnym rankiem pobudkę robi warkot helikoptera. Czyżby znowu? Na szczęście do opuszczonej liny zostają podwieszane tylko worki z odpadami. Trzeba je wywieźć z gór. Po śniadaniu, ok. godz. 9 wyruszamy. Po wyjściu z obozu zakładam raki, ponieważ coraz dłuższe odcinki szlaku są ośnieżone. Są różne techniki chodzenia po górach. W naszej grupie zdecydowanie stawiamy na indywidualne tempo i w efekcie na rozproszenie grupy. Ale niektórzy wspinają się w zwartych kolumnach. Wraz z wysokością wzmacnia się lodowaty wiatr. Zakładam maskę ochronną na twarz i dodatkowe rękawice. Do miejsca na obóz II na wysokości 5850 m n.p.m. dochodzimy ok. godz. 14²⁰. Jest bardzo zimno i wieje silny wiatr. Po ok. 20-minutowym odpoczynku zaczynam schodzić. Ponad pięćgodzinne podejście, mimo że teraz wiatr wieje w plecy, oznacza potrzebę ok. dwóch godzin na zejście do obozu I na nocleg.

Kolejna noc w obozie I tylko do połowy jest spokojna. Po godz. 2 zrywa się bardzo silny wiatr. Sen nie jest więc głęboki. Wstajemy, zupa plus herbata i scho-



Fot. A. K.



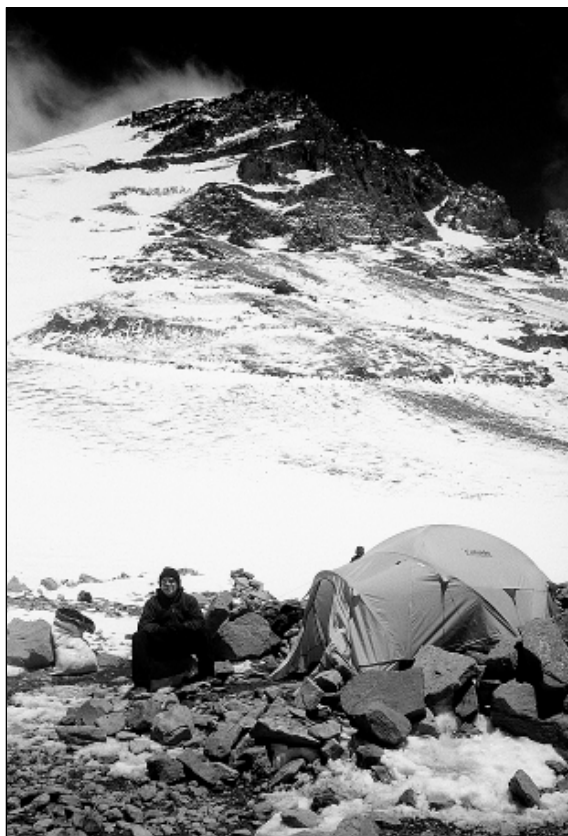
Fot. A. K.

► Droga na szczyt

Noc z czwartku na piątek przed wyjściem z bazy na szczyt minęła u mnie na pograniczu snu i jawy. Szczegółów, zwłaszcza z pogranicza snu, w „*Echu Limanowskim*” nie sposób przedstawić, ale faktem jest, że „obudziłem się”, a właściwie wstałem w złej kondycji. Zero odpoczynku i niepokój. Dzisiaj mogę stwierdzić, że był to strach. Po tym, czego dowiedziałem się o Aconcaguie już po powrocie z Andów – całkowicie uzasadniony. Wtedy broniłem się przed strachem, wiedząc, że nie jest on mi pomocny. Raczej powtarzałem myśl dr Susan Jeffers: „*Pomimo, że odczuwasz strach, podejmij wyzwanie*”¹. Okazało się zresztą szybko, że przyczyną problemów (które odczuli podobnie inni uczestnicy wyprawy), było „odstawienie” Diuramidu (zalecone nam przez miejscowego lekarza). Wróciłem do sprawdzonej metody zwalczania objawów wysokościowych i samopoczucie wróciło do normy. Kolejny raz potwierdziła się zasada, że zaprzęgu nie zmienia się w środku przeprawy, a ewentualną całkowicie naturalną aklimatyzację należało rozpocząć na wysokości 3500 m, a nie 5500 m. W efekcie mogę stwierdzić, że w Andach, pomijając ten jeden „incydent”, nawet na wysokości ponad 6000 m czułem się dobrze.

Po lunchu z żalem żegnaliśmy się z Jurkiem, który ze względów zdrowotnych i za wyraźną namową lekarza wybrał inny rodzaj przygody - wraca do Punta de Vacas na mule w 10 godzin zamiast przez 2-3 dni pieszo. W pełnym słońcu wyruszamy do obozu pierwszego. Po znanych ścieżkach idzie się trochę lepiej. Jest mniej emocji związanych z poznawaniem szlaku, ale można poświęcić więcej uwagi na podziwianie krajobrazu i niewielką „optymalizację” przejścia, omijając niebezpieczne piargi i szczeliny lodowca.

W 12. dniu wyprawy ochoczo wstajemy o 7 rano. Trzeba zrobić szybkie śniadanie i zwinąć namioty. Czekają nas kilka godzin marszu do obozu II. Trzy słonecz-



Odpozynek w obozie II, u podstawy Lodowca Polaków (przed namiotem autor). Fot. ze zbiorów A. K.

ne dni, które minęły od przejścia aklimatyzacyjnego, spowodowały zniknięcie wielu płatów śniegu. Tym razem idę bez raków. Warunki pogodowe na razie są bardzo dobre. Kamienny Strażnik zaprasza nas na szczyt. Nie ma silnego wiatru. Kurtkę puchową niosę więc w plecaku. Około godziny 14 jestem w obozie II. Czekając na namioty, rozglądamy się za dogodnym miejscem na ich rozbicie. Większość platform jest zasypana śniegiem. Pomagając sobie wzajemnie w walce z wiatrem rozkładamy namioty i przystępujemy do głównego zajęcia: topienia śniegu oraz przygotowywania herbaty i zup. Zestawy liofilizowanego jedzenia jakoś nie znajdują wielu smakoszy, a jak wiadomo, z pieczywem u nas krucho. Zaczynają się też rozważania na temat taktyki ataku szczytowego. Jedni chcą wyruszyć jeszcze w nocy, inni ok. godz. 5 nad ranem. Osobiście jestem zdania, żeby wstać o 6 i po wschodzie słońca wyruszyć na szlak. Będzie wid-

no, a więc bezpieczniejszej oraz cieplej (najzimniej jest przed wschodem słońca). Położyliśmy się spać bez konkretnych ustaleń. W efekcie ok. 3 w nocy pobudka. Nie chciałem wyruszać nocą, ale od początku dostosowuję się do decyzji Leszka. Po śniadaniu przed godziną 4 zapada decyzja, że czekamy. Wieje bardzo silny wiatr i jest zbyt zimno. W namiotach temperatura spadała nawet do -10°C . W lekko ogrzonym namiocie zasypia się szybko. W efekcie nie wystartowałem nawet o świcie. Przed godziną siódmą budzi mnie Janka. Ze zdziwieniem stwierdzamy, że nie licząc Tadeusza, który zrezygnował z ataku szczytowego, obóz jest opustoszały. Na szczegółową ocenę sytuacji nie ma jednak czasu. Trzeba zrobić herbatę, dopakować plecak i ruszać. Część uczestników wyprawy jest jeszcze widoczna pośrodku trawersu podstawy Lodowca Polaków.

Z obozu wyruszam na szczyt jako ostatni o godz. 7⁵⁰. Szlak jest cały czas ośnieżony, ale nie zakładam raków. Co prawda, jak oceniam, po ok. dwóch godzinach od przejścia głównej grupy wspinaczy szlak jest już częściowo zawiany, ale i tak nie muszę torować przejścia. Korzystam ze śladów Współtowarzyszy. Nie ma co ukrywać, że idę rozeźlony zaistniałą sytuacją, ale chyba z tego też powodu idę szybko. Może ktoś uznał, że wystarczy mnie tylko wyprowadzić z równowagi (a nie z namiotu!), a dalej to już pójdę sam? W efekcie po dwóch godzinach marszu, dochodząc do tzw. normalnej drogi (prowadzącej z doliny Horcones przez bazę na Plaza de Mulas), spotykam odpoczywających Dankę i Darka. Słyszę: załóż raki! O.K. Ale na odpozynek nie mam wiele czasu. Idę wyrównanym, ale dobrym tempem. Mijam kolejnych Współtowarzyszy, zamieniając z nimi po kilka zdań. Wszyscy są jeszcze dobrej myśli. Tak trzymać.

(ciąg dalszy na stronie 31)

Cerro **Aconcagua**, najwyższy szczyt najrozleglejszych gór świata - Andów. Góra nazwana przez Inków *Acconcahuac*, czyli **Kamienny Strażnik**, to szczyt o wysokości 6962 m n.p.m., leżący w Andach Południowych, w Kordylierze Głównej, na obszarze w centralno-zachodniej Argentynie, w prowincji Mendoza, ok. 15 km od granicy z Chile. Aconcagua tworzy rozległy masyw o dł. 60 km i szer. 20-30 km, zbudowany z andezytów. Wysokością przewyższa o ponad kilometr wszystkie okoliczne wierzchołki. Jest pokryta wiecznymi śniegami i lodowcami, z których 7 spływa do poziomu ok. 3900 m n.p.m. Z uwagi na fakt, że jest to najwyższy szczyt Ameryki Południowej, wchodzi, jako drugi pod względem wysokości, w skład tzw. Korony Ziemi (www.7summits.com/).



PODRÓŻE MAŁE, PODRÓŻE DUŻE

Fot. Leszek Cichy



Fot. Danuta Jaworska



Fot. Leszek Cichy

Fot. A. K.



Fot. Danuta Jaworska

Fotografie:

U góry: Kamienny Strażnik Andów z widokiem na Lodowiec Polaków (po prawej stronie).

Po lewej: Południowa ściana Aconcaguy – widok z lotu ptaka.

Niżej: W miejscu zwanym Independencia można będzie trochę odpocząć.

Po prawej: W słońcu penitenty są ozdobą góry, ale przysypane śniegiem mogą być niebezpieczne.

Niżej: W obozie II – w tle wspaniały widok na Andy Chilijskie.

Z BESKIDU WYSPOWEGO W ANDY

Dochodzę do Independencji (ok. 6250 m n.p.m.) z charakterystycznym obiektem – małym, rozwalonym, drewnianym szałasem. Jestem już na wysokości ponad 6 tys. m n.p.m. Tzw. „życiówka” zaliczona. Popijam trochę herbaty z termosu, zjadam kilka kawałków czekolady i ruszam. Leszek będzie czekał na kolejnych członków wyprawy. Złą sławą w naszej grupie cieszy się Canaleta (ok. 6650 m n.p.m.) – długi żleb wypełniony luźnymi kamieniami i śniegiem. Nie koncentruję się jednak na opiniach i zasłyszanych wiadomościach, skupiając jedynie na pewnym stawianiu nóg. Raki pomagają. Mogą jednak być przyczyną potknięć i skaleczeń. Mobilizację wewnętrzną osiągam w bardzo prosty i znany sposób – licząc kroki pomiędzy kolejnymi zatrzymaniami: 50, 30, 20 ... Trzeba iść. Nie ma nawet czasu na delectowanie się widokami i robienie zdjęć, bo pogoda straszy zmianą. Już po powrocie do domu Darek i Danka poprosili mnie o jakieś zdjęcia z dnia ataku szczytowego, bo ten dzień był dla nich tak zimny i wyczerpujący, że zrobili tylko 8 zdjęć, mimo że szli kilkanaście godzin. Od strony chilijskiej nadeciągają chmury. Około godziny 14 szczyt Aconcaguy niknie w chmurach. Spoglądam więc za siebie. Niestety, nikt za mną nie idzie. Mijam natomiast tych, którzy jeszcze wchodzą oraz już schodzących. Wśród nich także Marcina. Pod szczytem dochodzi do mnie Leszek, który nie ma już na kogo czekać. Janka, Danka i Darek doszli do żlebu Canaleta. Pozostałych trzech członków wyprawy zawróciło do obozu II trochę wcześniej.

Jest szczyt Cumbre Norte - 6962 m n.p.m. O godzinie 16⁰⁰ wchodzimy na dość rozległy, płaski, lekko nachylony wierzchołek północny, na którym znajduje się mały, aluminiowy krzyż z kolorowymi nalepkami. Obok kamienie z doczepionymi tabliczkami i metalowym rulonem. W tym mo-



Na szczycie nawet wytrawny szampan ma słodki smak sukcesu.
Fot. ze zbiorów Leszka Cichego.

mentcie, jako miłośnik gór, nie mam żadnych pytań typu: „po co?”, „dlaczego?”, „czy warto?” Jednak dla tych, którzy zadają mi takie pytania, odpowiadam, parafrazując wielkiego George Leigh Mallorey’ego (1886-1924): **wszedłem na Aconcagua, ponieważ jest.** Kładę limanowski proporzyczek wśród śladów wcześniejszych zdobywców. Czyżby pierwszy limanowianin na Aconcagua? Na to proste pytanie już nie znam odpowiedzi.

Z grani szczytowej spoglądam na nieprawdopodobnie wysoką ścianę południową, którą wieńczy wierzchołek południowy (Cumbre Sur - 6930 m). Wspaniały widok! Pogoda jest bardzo życzliwa. Pojawiające się wcześniej chmury rozproszyły się całkowicie, a widoczność w słońcu jest bardzo dobra. Zaczynamy robić zdjęcia. Na szczycie pojawiają się kolejni wspinacze. Są wśród nich także Polacy z innych zespołów, którzy rozwinęli polską flagę. Leszek otwiera szampana. Potwier-

dziła się zasada, że do osiągnięcia wyznaczonego celu potrzebna jest przede wszystkim silna wola i wiara w końcowy sukces.

Przed nami pozostaje jeszcze bezpieczne zejście ze szczytu. Nie jestem stanie precyzyjnie określić, ile czasu potrzebuję na zejście do obozu II. Należy przewidzieć od 3 do 5 godzin. Tak więc po półgodzinnym pobycie na szczycie postanawiamy schodzić. Schodzą też inni wspinacze. Teraz już nie mijamy wchodzących. Schodzenie przebiega spokojnie. Staram się iść wyrównanym tempem. Bardzo krótki postój u wyjścia ze żlebu Canaleta oraz na Independencji (na podwieczorek trochę orzechów, czekolada oraz cola z butelki, taka jak lubię, z lodem) i dalej w dół. Pogoda w dalszym ciągu dobra, ale czasu nie za dużo. Idę cały czas w rakach. Po zejściu z tzw. normalnej drogi trawersujemy podstawę Lodowca Polaków. W pewnej chwili śnieg zarwał się pod nogami i zaczynam ześlizgiwać się po sto-

ku. Biorąc pod uwagę, że mam plecak, kije (a nie czekan) i raki, czeka mnie bardzo nieciekawa perspektywa - kilkusetmetrowa „jazda” do doliny po ośnieżonym stoku. Szczęśliwie kilkanaście metrów niżej, na równoległej ścieżce, idzie Leszek, który pomaga mi się zatrzymać. Do obozu II wracam o 19⁵⁰, dokładnie po dwunastu godzinach od wyjścia. Mimo że otrzymuję pierwsze gratulacje od Współwędrowców, wiem, jak trudno je składać. Wszyscy chcieli być na szczycie. To ten gorzki smak życia. Porcja gorącej herbaty, którą mnie częstują, starczy mi za wszystko. I spać!

c.d.n.

Andrzej KULIG

Fotografie ze zbioru Andrzeja Kuliga

Warszawa, kwiecień 2007 r.

Część III (ostatnia) w następnym numerze.

¹ Helen Exley: *Odważ się żyć odważnie*. Giftbooks. Exley, www.exley.pl

Pierwsza poważna próba wejścia na szczyt miała miejsce w 1883 roku, ale po raz pierwszy Aconcagua została zdobyta 110 lat temu. Dopiero w 1897 r. szwajcarski przewodnik górski Matthias Zurbriggen (1856–1917) samotnie wszedł na jej szczyt. Następne liczące się wejście na szczyt jest dziełem Polaków. Polskie tradycje alpinistyczne na tej pięknej górze sięgają okresu międzywojennego, kiedy to pierwsza polska wyprawa andyjska (S. Daszyński, K. Jodko-Narkiewicz, S. Osiecki i W. Ostrowski) dokonała 9 marca 1934 roku ósmego w historii wejścia na szczyt i wytyczyła nową drogę przez lodowiec położony w górnej części ściany wschodniej. Dla upamiętnienia tego wejścia lodowiec, który pokonali, nosi obecnie nazwę *Lodowiec Polaków*. W roku 1985 ścianę południowego szczytu Aconcaguy pokonała polska alpinistka W. Rutkiewicz.